

Rok I

30457

Nr. 1.



MAŁPIE



ZWIERCIADŁO

Tygodnik społeczny i literacki.

✦ TREŚĆ: ✦

Point d'attaque
Glosy do literatury
Plotki niedzielne
Glosy teatralne
Notatki z tygodnia
Chronique scandaleuse
Odpowiedzi wydawcy



Wychodzi we Lwo-
wie w każdą niedzie-
lę rano

Lwów 1. lutego 1903.

Cena egzemplarza 10 ct.

Prenumerata wraz z przesyłką wynosi kwartal-
nie 1 zł. 30 ct., miesięcznie 45 ct.

Adres Redakcyi i administracyi :
Lwów, ul. Piekarska 10.



Prosimy zażądać

kalendarzyka bankowego, który wysła bezpłatnie dom bankowy **Schütz i Chajes** we Lwowie.



Podróżnym do Tarnopola poleca się

„**Hotel Podolski**”



MAGAZYN
towarów miewanych i pióren
Stachiewicz i Apatowski
LWOW Rynek 32.

Do nabycia we wszystkich
handlach korzennych



Małpie

Zwierciadło

Żygodnik społeczny i literacki.

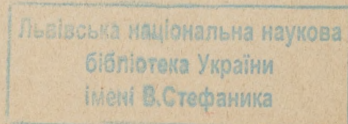
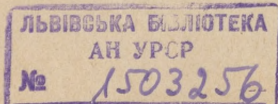
Point d'attaque.

„Wszystkie sądy — dobre. Wolna dyskusya. Za i przeciw. Największa kolekcya sądów i zapatrywań. Biada dziennikarzom, którzy czytelnika zajmują wszystkim i wszystko poruszają zbiorowo i podają nam w jednym dniu trojaki zapatrywania i dziesięć kłamstw i dwadzieścia faktów i nie-faktów a nie pozwalają nam myśleć! — Kto jeszcze dziś może czytać; kto może jeszcze pochwycić poważną myśl; kto zapamięta poważne słowo z dnia wczorajszego na dzisiaj! Piorą nas! Wszystko tu jest obok siebie: żart i prawda, mord i wesele, kościół i cyrk; dzielność i sztuczki złodziejskie; wszystko dobrze, co nam przynosi dzień i zapomina się o wszystkim po odłożeniu dziennika. I dziennik idzie swoją drogą a czytelnicy ziewają...”

Arne Garborg („Stracony ojciec“.)

Konieczniewstęp, przedmowa, program. Nie podawali-
byśmy go, gdyby nie okoliczność, że jesteśmy pismem zupeł-
nie nowem, jakiego dotąd w tym rodzaju — Lwów jeszcze
nie miał. Wzięto nas, jak się dowiadujemy, za pismo humo-
rystyczne, inni widzą w nas powiększone lub skrócone wyda-
nie pism bezwzględnie rewolwerowych, przeczuwając w nas
cały arsenał kul, bomb dynamitowych i piorunów. My nie
jesteśmy ani jednym ani drugim.

Czemżeż my będziemy ?



Trudno nam dziś już naszkicować cały program naszej działalności publicystycznej. Możemy tylko naznaczyć, co będzie dla nas *point d'attaque* w rozdzierającym uszy dysonansie koncertu ogólnodziennikarskiego w Galicyi.

Całe społeczeństwo nasze podzielone jest na partye i partyjki, z których każda niemal ma po jednym głównym a czasem jeszcze po kilka drobnych organów. Rzecz prosta, że każdy z nich tak śpiewa jak mu wypada najlepiej ze względu na siebie i swoją partycę. Wszystko co przeciwne lub choćby tylko nie ze wszystkim powolne jego programowi — jest zerem. Krótko: każdy uważa siebie i swoją partycę za ideał, a swoje słowa wypowiedziane lub napisane za bezwzględną prawdę. A prawda jest tylko jedna... Stąd krzyżujące się potworne sprzeczności, poza, chłodne zapęły, naiwność, arlekinada a dość często błaga, potwarz, spadłanie drugich i siebie. Co zaś najczęściej się u nas zdarza, to z jednej strony przysłowiowe nieuctwo całej falangi piszących nożycami reporterów a z drugiej brak koniecznej kontroli ze strony kierownictwa redakcyi i stąd znowu przekręcanie pojęć, fałszowanie i podrabianie faktów, niecne insynuacje, przysłowiowy idjotyzm reporterski a co najgorsza: systematyczne i bezkarne koszlawienie języka, lekceważenie najprostszych bodaj zasad gramatyki, ba — ortografii!

I oto, co w pierwszym rzędzie będzie naszym zadaniem: baczną kontrola tych informatorów opinii publicznej i wieczne otwieranie oczu zaślepionej publiczności czytającej przez dokładne odbijanie i oświectlanie wszystkiego, co w naszym dziennikarstwie jest małpiem.

Nie znaczy to, byśmy się mieli zajmować jedynie i wyłącznie dziennikami jako takimi. Wszystko, co dzień przynosi a co będzie zasługiwało na podniesienie lub zganienie odbije się w „Zwierciadle“ w bezstronnem oświectleniu, przy czem stale unikać będziemy prywatnych brudów.

„Małpie Zwierciadło“ — tytuł wzięty od najgenialniejszego satyryka współczesnego Adolfa Neuwert Nowaczyńskiego, wskazuje, że w naszym piśmie *przeważać* będzie satyra — satyra na wszystko, co zasługuje na skarcenie. Podkreślamy słowo „przeważać“, przez co zaznaczyć chcemy, że satyra nie będzie naszym tonem wyłącznym, bo obok satyrycznych znaj-

dą Czytelnicy w naszym piśmie sporą ilość poważnych artykułów z dziedziny spraw społecznych, literatury i sztuki.

Jak nas powita dziennikarstwo galicyjskie?

Naturalnie, że albo nas zakrzyczy, albo zamilczy. Pierwszego nie tylko nie boimy się, ale owszem jest ono dla nas pożądanem; drugim tj. milczeniem jeszcze nikt nikomu nie wyrządził szkody. Jest więc nam jedno i drugie serdecznie obojętnem a czy tego rodzaju pismo jest u nas potrzebne, pozostawiamy do osądzenia naszym Czytelnikom.

Wydawnictwo.



Glossy do literatury.

(, O) Czcigodna, luba, światła publiczność znajduje się obecnie wedle nieomylnych prognostyków meteorologicznego obserwatorium jej umysłowej atmosfery we fazie t. zw. modernizmu. Na tę etykietę z kolei rzeczy daje się teraz brać na kawał, za nos wodzić i wabić na lep. Wytwarza to pełną humoru i dowcipną sytuację, w której, niby w paryskiej, bulwarowej farisie roi się od nieporozumień, zabawnych *qui pro quo*ów, intryg, zawikłań, wzajemnych okłamywań i innych tego rodzaju szelmostw. Istna komedia omyłek, zdolna zatwardziałego melancholika i nieuleczalnego śledziennika rozbawić do rozpuku. Świadczy to dobitnie, że komizm w kosmosie nie wyginał jeszcze do szczytu i że poważna humorystyka nie może się uskarżać na wyczerpanie materiału. Młodym adeptom sztuki, bezpłatnym na razie aspirantom poezji, którzy tu na miejscu we Lwowie założyli sobie biuro porady i pomocy literackiej, a cierpiącym, jak tego dali świadectwo pierwszem i na szczęście ostatniem przedstawieniem teatralnem, na przedwczesne wyschnięcie inwencji poetyckiej, raje tematy z tego zakresu do obrobienia. Mógłbym ewentualnie pośredniczyć; proszę jeno przedłożyć oferty. Niechże tylko wejdą w siebie, otworzą szeroko melancholijne oczęta na karykaturalną panoramę życia, którą mają przed sobą otwartą jak na dłoni, a zobaczą rzeczy, które się jeszcze żadnemu modernistcie, ryczałtowo ich biorąc i każdego z osobna, we śnie, ani na jawie nie śniły. Niechże sobie tylko wydłubią z głowy, że poezya

musi być poetyczna, że ma rzucać powłóczyste, elegijne spojrzenia, i że rezerwoarem wszystkich modernistycznych natchnień jest pełnia lub rożek księżyca. I niech sobie raz wreszcie do kroćset djabłów weperswadują, że poeta współczesny musi być prerafaelickim lunatykiem, połykaczem manny niebieskiej i spacerowiczem na *corso* mistycznych łąk i gwiaździstych, mlecznych dróg.

* * *

Polska jest teraz wylęgarnią królików, kroju secesjonistycznego, na modłę modernizmu, tego dla szerokiej masy konsumujących czytelników węża morskiego, tego dzwonu, o którym wszyscy mówią, że gdzieś dzwoni a nikt nie wie gdzie, tych strachów na zdrowe, rumiane i czerstwe Łachy, tego malowanego na ścianie djabła. Ale Polska jest teraz wylęgarnią królików a wszyscy gotowi zaprzysiądź, że każdy nowiusieńki, świeżo z pudełeczka wyjęty króliczek jest subiektywnym indywidualistą i modernistycznym dekadentem. Jak bowiem raczył skonstatować i rzec o tem ostatnie profesorskie słowo *ex cathedra* Imci P. Piotr Chmielowski, który się przypadkowo z dziwnie prześladowającym go pechem stale myli, ile razy o kwestyi poezji »doby najnowszej« głoś zabierze, tak za nim ad infinitum odmawia pacierze cała czereda drobiu literackiego, i tak temu trudem bakalarskim uciulanemu brewiarzowi na ślepo wierzy łatwowierna i dobrodusza publiczność.

Ale trudno wymagać od rzeszy żadnych sensacji czytelników, od jej informatorów, tych niepoprawnych gazeciarskich nieuków i polignorantów, od samego wreszcie grand-belfra polskich kursów samokształcenia się w literaturze, aby ci, rozumiejąc się na rzeczy i fachu, odróżniali margarynę od deserowego masła, skoro sama produkująca brać poetycka, wpływawszy na mielizny tej strugi, mielącej plewy swoje i cudze, na swym handlowym statku wywiesiła banderę z bombastycznym monogramem indywidualizmu. Był to zresztą niewinny fortel i kostyumowa mistyfikacya. Na tym arlekinowym kiermaszu bowiem należało wejść w odpowiedni dominie z szurum-burum wyrachowanej ostentacyi, aby wpaść w oko, znaleźć pożądaną zbyt i należyty pokup. A że w wypożyczalni kostumów na raty nie było na razie nic innego pod ręką, cóż dziwnego, że uboga w ideje a w rymy bogata brać poetycka gorączkowo chwyciła za larwę, której tryumfy otrębiano na wszystkich jarmarkach zagranicy i w tej liberyi wystąpiła na światło literackiej widowni.

Nie więc dziwnego, że i nasi znakomici znawcy, krytycy i recenzenci, od czasów jeszcze mickiewiczowskich obciążeni dziedziczną ślepotą, majstropopsuje psychologicznej optyki nie

połapali się na tej ciuciubabce i pozór wzięwszy za istotę rzeczy, ogłosili jako swoje jajko kolumbowe, urbi et orbi, »że subiektywny indywidualizm stanowi rys znamieny współczesnych prądów literatury«. A jak za czasów unieśmiertelnionych przez Mickiewicza recenzentów, warszawskich arystarchów krytyki, wystarczało wykuć skrypta kursów Laharpe'a, czy Boileau, aby zdobyć promocję doktora estetyki i retoryki; jak w epoce pozytywizmu przewertowanie sześciu tomów Taine'a, artykułów Żoli i broszury Hennequina dawało patent na sprawozdawcę z literatury, tak dziś z porządku rzeczy z istic niepoprawnem małpiarstwem zagranicy, z nałogową gloryfikacją cudzoziemczyzny tokującej bezmyślnie estetyczny alfabet Maucclair'a Morice'a, Fagneta, Douminica, Gidea, Bahra, Serwesa i innych ćwierć i półćwierci bożków krytyki, olśniewamy europejską erudycją, odcytaniem, znawstwem i rozumieniem rzeczy. Na sam dźwięk tych nazwisk czytelnik wpada w ekstazę i zmienia się migiem w modernistycznego neofitę. Pod urokiem tej konstellacji nazwisk uwierzyliśmy tzw. modernizmowi po prostu na słowo i przyjąwszy wszystkie łaskotliwe imiona, nazwy, terminologie, nomenklatury i banderole na gotowo za apodyktyczne pewniki, przesuwamy te fałszywe liczmany w kółko do nieskończoności, nie zdając sobie najmniej sprawy z istoty rzeczy, jej cech zasadniczych, pojedynczych odcieni, podobieństw i różnic.

Taką gotową, a pustą formułą posługiwano się bierząc modernizm indywidualizmem. Jest to banalny komunał, a nonsens nad nonsensami zarazem. Z wrodzoną elastycznością umysłu, uginającą się za lada powiewem najpłytszych nowinek każdej płotki literackiej zagranicy, przyjęliśmy ten podrobiony szyld skwapliwie wywieszając go na targowej hali produktów współczesnej literatury nie umiając sobie własnym wysiłkiem dać rady z tym fantem: samodzielne myślenie bowiem jest u nas zanikającym szczątkowym fenomenem. Sprawy wzięły tak bezczelny, a wielce znamieny obrót, że aby publiczności uprzyśtępnąć, wśród niej spopularyzować, rozwodnić i spłaszczyć w ten sposób dzieła Słowackiego i przychylnie ją dla niego usposobić, puszczono się na intratne przedsięwzięcie interpretacji utworów jego zapomocą algebraicznych wzorów rzekomo modernistycznej estetyki i nie wahano się z akrobatyczną zręcznością najszczytniejsze emanacje jego natchnienia naciągać prokrustowo na aktualne, efemeryczne szematy. Przedsięwzięcie to cieszyło się wielkiem powodzeniem, a odnośne dzieło p. Matuszewskiego, które przeprowadziło ten proces o ojcówstwo modernizmu przeciw Słowackiemu nagrodzono i zarubrykowano jako najwspanialszy kwiat samodzielnej, polskiej myśli krytycznej. Porzucono w ten sposób całkiem obcy plód cudzemu ojcu. To skandaliczne szachrajstwo hodowała zwła-

szcza z wytrawnością eskamoterów krzykliwa swego czasu krakowska grupa modernistów, celem wziębrania się w charakterze progenitury Słowackiego w prostej linii w poczytność i łaskę publiczności. Nie ufając samodzielnej energii wystąpienia, siłę samorodnej idei i własnym kwalifikacyom artystycznym użyto nazwiska Słowackiego za pomocnicze szczudła w zupełnej świadomości umyślnego fałszerstwa, ile że trudno przypuścić, aby to uszło choćby nie bardzo sprytnej zdolności oryentowania się, że ten zasób idei, zapas środków artystycznych i ta sfera wyobrażeń, które do skarbcza umysłowości wnosi współczesna poezja, z poezją Słowackiego literalnie nic nie ma wspólnego. W tem poszukiwaniu węzłów genealogicznych załgała się krytyka polska z kretesem.

Na rachunek Słowackiego uprawiano też ów rzekomy indywidualizm; z tego też tytułu pisał nawet taki Przybyszewski całkiem na zimno swą retoryczną, bliższą apostofoję do „Króla Ducha“, a za jego przykładem szli wielbiciele i przeciwnicy. — Tak też z ust do ust podawano ową legendę o indywidualizmie modernizmu i jednym tchem wypowiadano te dwa wyrazy, nie zważając na to, że indywidualizm jako hasło jednolitego prądu literackiego jest sprzecznością samą w sobie, a poza tem jest gołosłowną bańką mydlaną, wydeętym pęcherzem, tabulą rasa, której dopiero to, co ją wypełni, istotną i rzeczywistą wartość nadaje.

Przeoczono bowiem, że indywidualizm jest przecie immanentną zasadą wszelkiej prawdziwej twórczości i był nią, od kiedy świat światem, a sztuka, która za temat obiera sobie indywidualizm, może być tak dobrze nieindywidualistyczna, jak każda inna o temacie nieindywidualistycznym. Przemycało przytem humbug, że sztuką współczesną jest tylko ta, która się zajmuje indywiduum jako takim. A była to woda na korytko drobiu z podwórka modernistycznego. *Clou* bowiem i *piece de resistance* całej tej komedii jest to, że utwory najradikalniejszych indywiduistów właśnie, którzy liryczne dzieje indywiduum opiewają z wyraźnemi aluzjami do indywiduizmu jako hasła, są do siebie podobnusićkie, jak dwie krople wody, z powodu identyczności tematu i obrobienia. I tak licznie rozrodzona familia indywiduistycznych modernistów zdemaskowała się jako grupa braci sjamskich. Bowiem jest się ślepym na rozległą panoramę życia, otwartą jak na dłoni, w której dzieją się rzeczy, żadnemu modernistcie rycałtowo ich biorąc i każdego z osobna, nieznane.

Oto i program tych gloss do literatury.

Słubujemy sobie tępić na tem miejscu wszystko, co pachnie w modernizmie humbugiem, poza, metodą: chytro mudro ne wetykim kosztem, »szparagowym« indywiduizmem bez indywiduowości, naśladownictwem z drugiej ręki, jałową poe-

tycznością, dekoracją i kulisami. Chcemy w ten sposób wietrzyć zakłamaną atmosferę literatury i krytyki, tej ostatniej zwłaszcza, atmosferę, w której szerszym płucom na seryo trudno wyżyć.



Plotki niedzielne.

(Dlaczego nie chciałem się zgodzić na współpracownictwo. — Wędka na czytelników. — Obywatel przed afiszem. — Ankieta w Izbie handl. a prof. Lutosławski. — Karnawał, „Słowo polskie“ a syoniści. — „Przedświt“ detronizuje p. Korytowskiego. — Pytanie konkursowe „Ilustracji Polskiej“. — Czego jeszcze potrzeba naszym recenzentom muzycznym? — Sąd konkursowy. — Pan Studnicki. — Moja niewdzięczność.

Na propozycję redaktora, ażeby w jego tygodniku objął fejteton niedzielny, nie chciałem się początkowo zgodzić a to z następujących powodów: Primo nie mogłem dać aprobaty na format, który nie jest ani tak zastraszająco przeogromny, jak najdowcipniejszy z »Przeglądów«, ani tak skromniutko drobny, jak »Przyjaciel głosów ludu«, ani tak sympatycznie średni, jak wszechwiedząca i wszech piekarzy, restauratorów, piernikarzy i t. d. bez końca ilustrująca »Ilustracja polska«, ani tak — ale na co to wyliczać wszystkie istniejące formaty, kiedy my wszystkie znamy aż nadto dobrze. Tyle jest dobrych i znanych formatów i na szczęście tak mało się to wszystko czyta, więc na co szukać nowych!

A dalej nie podobał mi się sposób wprowadzenia pisma. Radziłem, by redaktor, pomimo opóźnienia wydawnictwa wyznaczyć za przykładem innych szanujących się pism, zachęcające premje noworoczne dla swoich czytelników, i tak: kto złoży z góry całą prenumeratę za pierwszy numer, ma otrzymać nowe, nawet jeszcze nieużywane szelki; kto zaprenumeruje pismo na cały miesiąc, będzie mógł korzystać z bezpłatnej wypożyczalni butów i fraków karnawałowych (zadziwiająco całych!) a — *pour la bonne bouche* — kto by miał szaloną odwagę wierzyć w tak bajeczne (w Galicyi!) powodzenie i wytrwałość nowego pisma, że złoży przedpłatę za cały — rozumie się — kwartał, ten będzie — nie, ja doprawdy nie wiem,

coby wyznaczyć dla takiego śmiałka. W każdym razie nagroda musiałaby być w złocie lub srebrze. W ten sposób, *a tout prix* złowiłbyś, kochany redaktorku, nawet może aż... 1500 (sage: tysiąc pięćset) prenumeratorów, z tych nota bene tylko 200 płatnych, 300 z łaski lub za współpracownictwo gratis po jednym egzemplarzu otrzymujących, a tysiąc tzw. subprenumeratorów, czyli razem akuratnie tyle, ile potrzeba na jakie takie uczciwe a przyzwoite brnięcie w długach, zaległości w drukarni przy równoczesnej wędrówce z jednej drukarni do drugiej, pozostałości w składach papieru, w biurach ogłoszeń itd. bez końca. Krótko mówiąc, musisz dopłacać czytelnikom, jeśli naprawdę chcesz, by cię czytano. O ile mi wiadomo, to z lwowskich dzienników jedyne „Słowo polskie“ żadnej uchwytnej premii nie udziela. No, ale papier, na którym się ten dziennik drukuje, jest higieniczny, co przecież powinno wystarczyć za dziesięć innych premij. A tu stanie ci obywatel przed afiszem zapowiadającym nowe wydawnictwo i nie patrząc jeszcze na tytuł szuka premii. Nie znalazłszy jej, pokręci nosem i uśmiechnie się: „Pi, pi, oni nic nie dają i chcą, aby czytano ich dureństwa. A gdzie honorarium? Et, pojde do takiej gazety, która da romans dla córki, abo kalendarz dla mnie, abo, jak zapłacę za rok z góry, to mogę nawet dostać jakiś kawałek ze srybła dla mojej baby...” Bardzo słusznie!

Z tych i wielu innych powodów (także bez końca) wstrzymałem się przez dni kilka od współpracownictwa w „Małpiem Zwierciadle“, ale szelma redaktor wiedział, czem się przekonuje galicyjskiego dziennikarza i oto jestem.

A kiedy już jestem, to muszę po tym długim wstępie krótko streścić najważniejsze wypadki z dni ostatnich, dziś wyjątkowo z całego miesiąca.

Co mi najwięcej imponuje to zwołana do tut. Izby handlowej ankieta w sprawie ustawy przeciwko opilstwu, która to ankieta przez kilkanaście godzin zastanawiała się nad tem, jakby to skutecznie zaradzić przesadnej w ostatnim czasie wstrzemięźliwości członków „Eleuteryi“ „nie wpuszczających“ alkoholu do domu a pijących tylko poza domem. Nie wierząc z zasady żadnym sprawozdaniom dziennikarskim nie wiem dokładnie, jaki był rezultat obrad ankiety, natomiast, o ile z dat statystycznych ostatnich kilku miesięcy wydedukować mo-

głem, ceny alkoholów i ich produkcyja w kraju, pomimo pocieszających wyników działalności »Eleuteryi« wzrosły w ostatnim czasie tylko nieznacznie. Tym niedostatecznym rezultatem przeraził się tak bardzo prof. Lutosławski, praapostoł wstrzeźliwości i właściciel browaru w Królestwie, że chwycił się ostatecznego środka i przekabacił swoją »Eleuteryę« w »Eleusis« przyczem w miejsce pojedynczej począł kazać ze swojej grozą przejmującej ambony poczwórną wstrzeźliwość: od przesadnej religijności (słusznie!), niemieckich kart (racya!), starych kobiet (brawo!) i fałszowanych trunków (vivat!). Przyłączam się w całej rozciągłości do »Eleuterji« i »Eleusis« prof. Latosławskiego i idę w moim bezprzykładnym ascetyzmie jeszcze dalej — a zatem *plus pape que le pape* — bo odtąd wstrzymuję się także od wszelkich tańców, do czego spowodował mię tegoroczny bal »podlotków«, słusznie dla swych 28—40 letnich i 60—300 funtowych uczestniczek tak nazwany.

Tak jest. Karnawał tętni w całej pełni bawią się ludziska i nie myślą nawet w swojej bezmyślności o zagrażającym całemu światu niebezpieczeństwie ze strony syonistów, którzy według swiatłych ostrzeżeń zawsze dobrze poinformowanego »Słowa polskiego« dziś jutro zagarną całą kulę ziemską razem z Galicyą i pałacem naftowym przy ul. Chorążczyzny 17. A więc miejcie się na ostrożności i pamiętajcie chamy o tem, że »Słowo« ma wyrobiony węch jeszcze z czasów afery z królem Menelikiem. Twierdzą złośliwi, że to ostrzeżenie »Słowa« ma podkład egoistyczny. Gdyby się bowiem sprawdziły horoskopy »Słowa polskiego« to musiałoby ono zmienić tytuł na »Słowo żydowskie« a wtedy utraciłoby drugą połowę swych prenumeratorów, którzy jak wiadomo tylko z przyzwyczajenia do tytułu i bardzo zdrowej bibuły jeszcze ciągle narkotyzują się wypocinami mózgowymi wszechpolskich rycerzyków zasłaniających się szan. nazwiskami pp. Kasprowicza, Bartoszewicza, Niewiadomskiego i innych nielicznych.

Zupełnie inaczej ma się rzecz z »Przedświtem«, którego stosunki materyalne nie zmieniły się pomimo zmiany wydawców, co należy rozumieć w ten sposób, że jak przedtem nie miał, tak i teraz nie ma. W ostatnich dniach jednak jeszcze raz spróbował być sensacyjnym. Oto rozgniewany na p. Korytowskiego (może z powodu bezwzględnego ściągania

podatków z chromającej kasy redakcyjnej) przeniósł tego mo-
carza skarbcia galicyjskiego w stały a dawno już zasłużony
stan spoczynku. Temu zdetronizowaniu sprzeciwiła się jednak
kategorycznie Lembergerka przynosząc skwapliwie nazajutrz
uspakajającą i pocieszną wiadomość, że eksc. Korytowski nie
ustępuje, ale owszem w połowie lutego wraca i obejmuje u-
rządowanie, aby jak dotąd, tak i nadal pracować na pożytek i
chwałę swojego społeczeństwa.

To uspokoiło mię nieco i zabrałem się odrazu do roz-
wiązania najnowszej zagadki konkursowej » Ilustracyi « : » Ile
lat należy się uczyć francuskiego języka w Galicyi, ażeby z
przedstawienia francuskich aktorów (Monna Vanna) nie zro-
zumieć ani jednego słowa i ile francuskich słowników winien
teatr przygotować dla premierowej publiczności, recenzentów
i inteligencji? »

Trafnego rozwiązania nie zdradzę, gdyż spodziewam się
otrzymać nagrodę (3 kor.) przez losowanie, natomiast w imie-
niu naszej redakcyi stawiam wzorując się na » Ilustracyi«, in-
ne o wiele aktualniejsze pytanie konkursowe: » Czego jeszcze
potrzeba recenzentowi muzycznemu we Lwowie, skoro równo-
cześnie odbywa się koncert we Filharmonii i przedstawienie
operowe w teatrze i skoro tak tu, jak i tam ma po jednym
wolnym fotelu, na których musi siedzieć równocześnie? «
Tylko trafne odpowiedzi należy nadsyłać do obu dyrekcij
teatru i Filharmonii, gdzie celem wyznaczenia nagrody za naj-
lepszą odpowiedź zbierze się w tych dniach sąd konkursowy,
złożony z ludzi fachowych jako to: adwokat, sprawozdawca
sportowy, dwóch atletów, fabrykant szwedzkich zapalek, intro-
ligator, dwóch weterynarzy i dorosły, ale inteligentny rzeźnik.
Do sądu konkursowego nie powoła się natomiast pana Ma-
słowskiego z obawy, aby nie przedrukował i w ten sposób
przedwcześnie nie zdradził najlepszej wierszowanej odpowie-
dzi.

Zanim jednak rozstrzygną sędziowie, komu należy przy-
znać nagrodę zamykam niniejszem moje sprawozdanie za mie-
siąc styczeń, zostawiając na razie wielką politykę najznakom-
itszemu dyplomacie lwowskiemu p. Studnickiemu, a inne
drobne i mniej ważne fakty znanym z poczciwości i wiecznie
za jak największą liczbą wierszy wężącym szmokom reporter-

skim, dla których właściwie do wielkiej poczuwam się wdzięczności, jako że oni przedewszystkiem będą mi dostarczali tematów do moich plotek niedzielnych. To się nazywa niewdzięczność ludzka... ha!

(***)



Glossy teatralne.

(O). To był dopiero prawdziwy dramat Kaliny, owo solidarne przez publiczność i prasę potępienie »Widziadła« p. Kaweckiego. Nie było w tem również nic nazbyt tragicznego i owszem spodziewałyby się raczej należało, że doznana klęska bynajmniej na młodego i śmiałego autora nie wpłynie deprymująco; a za to i przy tej, jak przy każdej innej sposobności, miało się sto pociech z zachowania się, dowodów znawstwa i przenikliwości naszej krytyki. Sztuka p. Kaweckiego upadła na wszystkie cztery łapy, to jeszcze nie dowód, że on nigdy lepszej nie napisze, przeciwnie wprawne i baczne oko umiałoby dostrzedz nawet w tych zblamowanych »Widziadłach« błyskawiczne rzuty rzadkiej inteligencji i pierwszorzędnego talentu. Ale gdyby ktoś bardzo złośliwy chciał powiedzieć, że z okazji »Widziadła« nasza krytyka znów padła na głowę, ten tylko zarzut miałby go w odpowiedzi spotkać, że z natury rzeczy nie pada się przecież na to, czego się nie ma.

Niechże się nasza krytyka tem pociesza, że Bóg jej nie zechce unieszczęśliwić, bo nie ma jej czego przedtem odebrać. *Und wo nichts ist, da hat auch Gott sein Recht verloren.* Arcyznawca p. Krechowiecki okazał przy tem tyle rzadkiej na tym pyszałkowatym świecie skromności, że trudno sobie odmówić przyjemności przygwożdżenia na tem miejscu tego fonomenu, jako wzoru do naśladowania.

Oto, jak zaczął recenzję o »Widziadłach«:

»Byliśmy świadkami niezwykłego objawu. Publiczność tak zwykle potulna, czy obojętna, a z reguły przyjmująca rzeczy swojskie z sympatją, gwizdała.«

Jeżeli się zważy, że pisząc o tem p. Krechowiecki musiał mieć na myśli swój: »Jeden dzień«, ten o pomstę do nieba wołający skandal literacki i że widocznie jedynie potulnością publiczności usprawiedliwia fakt swoją drogą nie do usprawiedliwienia, że sztuka ta nie została wygwizdana, to ma

się tu do czynienia z autorską skromnością tak szacunku godną i ponad zwyczajną miarę, że ją tu dla potomności reproduujemy.

* * *

Panu Kaweckiemu gratulujemy szczerze zawodn, jaki zgotował publiczności. Był to dla niego niezawodnie prysznic niełada, który go z niezdrowej ambicji szukania szybkiego rozgłosu radykalnie wyleczy. Wszystkim młodym a szybko starzejącym się autorom należałoby zapisać tę kurację, choćby z dotkliwem narażeniem miłości własnej. Był to, co prawda, w każdym razie dla ludzi dbających o to, aby indywidualność zwyciężyła, a publiczność była wzięta bez pardonu za łeb, przykry akt egzekucyjny. Niby postawienie niegrzecznego chłopaczka do kącika. Lub na odwrót dokuczanie swawolnych łobuzów wierszorobowi Wrońcowi z »Widziadeł« po wyłudzeniu wszystkich karmelków. Pan Kawecki zapomniał, że najostroższą pigułkę trzeba podać publiczności w cukrze; zapomniał jednak i to, że chemikalja, potrzebne dla organizmu ludzkiego fizycznego, czy duchowego, muszą mieć należyta przyprawę, a surowo i na czczo są »niejadalne«. Otóż tym razem był kiepskim kucharzem. Przyprawa nie udała się w całym tego słowa znaczeniu. A szkoda! wielka szkoda! bo chemikalja, które w skład tego obroku wchodziły miały smak, pożywność i dostateczny zapas tłuszczu duchowego. Cóż! kiedy sam materiał nie wystarczał, a zaprawiono go mniej niż nieudolnie. To jednak rozumna, poważna i stateczna krytyka winna była dostrzedz i skonstatować, bo to jej psi był obowiązek zawodu, że p. Kawecki pracuje w nie bylejakim laboratorium i operuje w niem pierwiastkami niepospolitej wagi. Niechże się który z tych panów w zakresie swego fachu zdobędzie na taki pomysł, założenie i konstrukcję logiczną, jak p. Kawecki w zakresie swego fachu, a Sodoma gnuśności i opieszałości umysłowej tych panów dla tego atomowego ziarnka ślepej kurki byłaby zbawioną.

* * *

Przyczyną całego fiaska był niewątpliwie lekkomyślny, karygodny pośpiech. Pośpiech gracza, który ma dobre karty w rękę i chciałby niemi jak najrychlej wygrać. Aliści w sztuce, jak w grze, same dobre karty nie wystarczają, trzeba je umieć dobrze zagrać, w czas je zadać: decyduje namysł, logika artystyczna. Pan Kawecki wszystkie karty rzucił chaotycznie na stół. Była to już nie artystyczna gra, ale sztubaństwo, którego ofiarą padły przepyszne atuty, jakie miał w rękę.

Chciał za wszelką cenę rzucić nową sztukę na szalę rozgłosu (nie sławy!) i szył ją na aparacie telegraficznym. Byle prędzej! byle prędzej! Und die Depesche ist so verstümmelt gekommen, że żywa dusza jej odsylablizować nie była w stanie. Autor sam jej zapewne nie poznał.

* * *

Nie rozumiem, dlaczego nasi autorzy, nawet tam, gdzie to nie jest wskazaniem, sadzą się gwałtem na sztuki trzyaktowe, szkodząc sobie przy tem sami jak najwięcej. Strinberg, majster jednoaktówek, powiada gdzieś propagując metodę redukowania dramatu do jednej sceny, że każda sztuka zdaje się być przeważnie napisaną gwoi jednej sceny, a cała rozkosz twórcza autora zasadza się jedynie na tej wyjątkowej scenie, około której wszystka reszta się obraca. Bez zastrzeżeń wprowadzić tego aprobować nie można, a w danym wypadku sąd ten zawodzi, ile że „Widziadła“ nie zawierają ani jednej takiej fundamentalnej sceny, któraby ściągała na siebie zmagetyzowaną uwagę i skupiała zarazem wszystkie nici dramatu. Ale ta prawda w tym sądzie pośrednio się mieści, że, skoro dany temat nie przedstawia ilościowo materiału twórczego na trzy akty, elementarne prawo koncentracji artystycznej nakazywało ograniczyć się do jednego. Przy tych warunkach, jak one zostały opisane, a nie przedstawione w „Widziadłach“ byłby się dał skomponować jedrny i zwięzły jeden akt, a autor niewątpliwie byłby to uczynił, gdyby był zastanowił się i fałdów przesiedział, a nie puszczał kiczów od ręki. Byłby wtedy zmuszonym temat uchwycić w punkcie, w którym się wszystkie osie przecinały i na tym punkcie stoczyłby swą walkę dramatyczną. Zyskałby przez to tem więcej, że w chwili podniesienia zasłony bohater sztuki jest już ze swą aferą miłosną z śp. Irmą *fait accompli*, a obecnie rozchodziło się jedynie o to, jak ten zawity kłębek psychiczny, rzucony w umysł opuszczonego kochanka kościstą dłonią śmierci kuszająca ręka życia po niteczce na nowo rozwikła. Że za narzędzie służyła tu właśnie druga kochanka, to już była uboczna, szczęśliwa i pieprzna przypadkowość. Mógłby być każdy inny fenomen życiowy. W każdym razie od tego punktu z tymi zasobami, które wypełniły dziurawe trzy akty należało poprzestać na jednym, ale efektownie zgęszczonym. Tak, jak to autor zrobił „da standen die Ochsen am Berge durch dreier Acte und wussten sich nicht zu helfen“. Niech sobie tę tajemnicę rzemiosła, życzliwie mu wyłożoną, p. Kawecki na przyszłość zapamięta. Przecież już nawet p. Zapolska, która ma czasami dobry węch na arkana dramatycznego metier ogranicza się

w rzeczach mniejszych, jak „Dziewiczy wieczór“ „Jesiennym wieczorem“, do jednego aktu. Są to, przynaję, po prawdzie lichoty i w jednym akcie, ale pomyśl Pan sobie, jakie monstra potworzyłyby się z nich w trzech aktach.

Zarzucają Kaweckiemu jego pospolitą trywialność. Sądę, co do mnie, że tej trywialności raczej za mało, niż za dużo, to znaczy, że jest ona u niego monotonna, brak jej urozmaïcenia, płytką i zewnętrzną, nie ma śmiałości, i polotu. Tak np. cała galerja osób cierpi na kolki żołądkowe. Jest to bądź co bądź ubóstwo pomysłowości.

Trywialności zatem, jak najwięcej trywialności! Byli ordynarnymi Ostade, Brouwer i Teniers w holenderskiem malarstwie, wartoby się pokusić pójść z nimi w zawody w dramacie. Niechby od tych karczemnych grubjaństw publiczności aż uszy popuchły, niechby pruderom na ich faryzeuszowskie policzki wypieki wystąpiły, choćby potem cała warszawska premierowa publika z naczelnymi krytykami na czele, których tępota staje się zwolna w całej Polsce przysłowiową, ostentacyjnie wychodziła z teatru, choćby potem p. Masłowski śmiał utrzymywać, że „prawdziwie“ utalentowany poeta, (więc można być i „nieprawdziwie“ utalentowanym) powinien (a wara od tego, co poeta „powinien“!) czerpać z życia towarzyskiego o formach wykwintnych, subtelnych i cywilizowanych. Co za paradna intryga! Pan Masłowski udzielający np. Szekspirowi noty cenzorskiej z estetyki salonowej, teoretycznego i praktycznego kursu *savoir vivre'u*. Szekspirowi, nieśmiertelnemu protoplaście wszystkich obskurnych grubjaństw na scenie.

* * *

Kawecki ma naśladowania godną odwagę prawienia publiczności ze sceny oko w oko impertynencyj i subiekcyj. Odzwyczajają ją w ten sposób od przesądu, że sztuka jest na to, aby konsumentom podbijała samolubne bębenki, stroiła grzeczne grymasy, jakby trzech zliczyć nie umiała, łaskotała komplementami, rozdawała dusery. Jest to u młodego autora niepowszednia zaleta, rzadka i cenna, której junaćkie dowody złożył i w „Dramacie Kaliny“ i w „Widziadłach“. Buńczuczność swą radykalizuje tak dalece, że ćwirka pięściami wprost popod nos specjalnie teatralnej publiczności zgromadzonej w widowni. Pod tym względem zdobył się w obu sztukach na kilka doskonałych replik. Lubi też tej publiczności cichaczem język wystawić, a umie ją także poskrobać w nerwy. Bezecnie skłamię, kto nie przyzna, że go ciarki przeszły od stóp do głów wtedy, kiedy na scenie w „Widziadłach“ przyszedł autorowi gust przypomnienia każdemu niemal widzowi, flirtują-

cemu tu na premierze ze sztuką w zaperfumowanej, jedwabiami szeleszczącej atmosferze salonu, że ma na jakimś z cmentarzów kogoś, który mu był bardzo drogim, a który się teraz w tejże samej chwili w spruchniałej trumnie, przywalony przemarzłą i wilgotną ziemią, w proch rozsypuje....

* * *

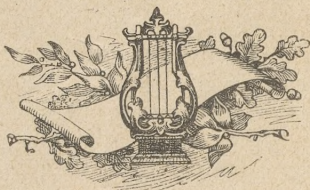
Ciekawym jest problem psychologiczny niefortunnej twórczości Kaweckiego w pierwotnej, rodnej koncepcji. O ile przypuszczałyby wolno wypływa ona, jak się wydaje, z zagadnienia czysto artystycznego, przeżytego we własnym doświadczeniu, które autor następnie w obu swych sztukach przetransponował na sytuacje życiowe. Tem doświadczeniem zdają się być fluktuacje i przełomy czysto artystycznej natury, które autor następnie, wcielając je w kłamane fabuły, symbolizuje zdarzeniami powszedniej rzeczywistości. W tem tkwi wyłącznie subiektywna strona obu jego utworów, opartych niejako w zasadzie na doświadczeniu subiektywnym, nadająca im charakter literackości i ukrytą cechę rodzaju Artistendrama, a nie, jak to przygodna, plotkarska, zaglądająca przez dziurki od klucza reporterka bajłowała, w przeniesieniu osobistych zdarzeń życiowych na deski sceniczne.

Kawecki oscyluje sympatjami poetycznymi między dwoma krajnymi biegunami. Światem idealnych porywów i astralnych zagadnień, a światem najgrubszej surowizny łyżakowskiego typu. Wzajemne ujadanie na siebie i zagryzanie się tych dwóch sfer wyobrażeń, danych mu w doświadczeniu wewnętrznym, wytwarza kolizje i perypetye pełne gryzącej, kostycznej ironii. Sam fenomen tego wzajemnego oszczekiwania się, materializuje autor artystycznie w postaci Kaliny, układającego fałszywie dramatyczną pozę i komponującego efektowną akcję niby rachunek bez gospodarza, który mu następnie gospodarz rzeczywistość koryguje, czy w postaci Oresta, co to wypruwa ze siebie zrazu atrybut myśli i zawiesza ją w międzyplanetarnej przestrzeni, aby potem zajechać na podwórko małżeńskiego stadelka. Sympatjom łyżakowskim składa zaś autor haracz w swych epizodycznych postaciach, które mniej lub więcej zręcznie wplata w zasadniczy temat. I tak w klatce scenicznej więzi życiowych antypodów.

Tego problemu naturalnie ani publiczność, ani recenzenci nie połapią. Przedstawia to, co prawda, pewną trudność. Chwałą natomiast autora szeroką gębą za bystrą obserwację epizodycznych figur.

Niechże Bóg poezji ustrzeże Kaweckiego, aby się dał na te plevy pochwał złowić. Czuć się to już dało w „Widziadłach“,

gdzie sztukę zgoła niepotrzebnie obciążył balastem pochwyconych z ulicy typów. Ale gdy w *„Dramacie Kaliny“* uboczne figury trzymały się kupy i głównego wątku tem, że je Kalina brał jako żywe modele do swej sztuki, tu te postacie, pozbawione ram takich, wyłaziły ze sztuki przez kiepskie jej szwy, a całość ostatecznie nie została uratowaną i przez te ulubione przez publiczność wkładki. Skupić uwagę na zasadniczy motyw i zająć się wyłącznie jego rozwiązaniem: oto lekcya dla ambitnego młodziana.



Notatki z tygodnia.

O! wydawnictwa. Z powodu, że papier specjalnie przez nas we fabryce zamówiony, nadejdzie do Lwowa dopiero za dwa lub trzy tygodni, zmuszeni jesteśmy przez pierwsze trzy tygodnie drukować nasze pismo na tym papierze, jaki we Lwowie dostać było można tj. jaki już tu był na składzie. Zarazem zamówiliśmy specjalny papier na okładkę.

Część artykułów, które nadesłali nam autorowie poza Lwowem zamieszkali, nadeszła za późno, gdyż numer nasz zamykamy w piątek rano ze względu na oprawę introligatorską tak wielkiego nakładu i rozsyłkę pisma na prowincję w bardzo wielkiej ilości egzemplrzy. Za to wszystko przepraszamy naszych Czytelników przyrzekając poprawę

Wiadomości osobiste. Panowie: Prezydent Małachowski i redaktor dr. Vogel wbrew życzeniu i doniesieniu „Słowa polskiego“ nie zachorowali.

Jak byk czerwonej chustki, tak nastraszyły się niektóre nasze dzienniczki zapowiedzi naszego pisma. Co? „Małpie Zwierciadło“? Jeszcze tego brakowało... Prawie żartem zawiadomiliśmy

niektóre lwowskie dzienniki o założeniu naszego tygodnika proponując zamieszczenie stosownej wzmianki. I tylko dwa zaledwie pisma zamieściły notatkę o powstaniu „Małpiego Zwierciadła“ a reszta czując przez skórę, co się święci, zamilczała o nas konsekwentnie. Bardzo wymowne milczenie...

Kurjer lwowski przyniósł w niedzielnym numerze artykuł pn. „Teatr narodowy“, w którym upatruje przyczynę smutnych stosunków finansowych naszego teatru w sprowadzaniu zagranicznych śpiewaków operowych. Otóż myli się się szan. „Kurjer“ i to dość grubo, gdyż wiemy wszyscy, że publiczność nasza wypełnia salę po brzegi, ile razy pojawi się jakaś zagraniczna gwiazda i że te właśnie przedstawienia pomimo olbrzymich honoraryów najlepiej się rentują ratując dziurawą kasę teatralną. Toć wolę pełny teatr, choćby dzięki gościnnemu występowi zagranicznej siły, jak przerażające pustki na zwykłym przedstawieniu. Dość przypomnieć występy Bel Sorel, kiedy to stale każde przedstawienie było wyprzedane aż do ostatniego miejsca. Inny jest powód opłakanych finansów teatru, ale o tem pomówimy kiedy indziej.

Biuro pośrednictwa wolnej miłości zaprowadziło u siebie od pewnego czasu „Słowo polskie“ w każdym swoim porannym numerze, gdzie na ostatniej stronie czytamy codziennie najrozkoszniejsze liściki miłosne, westchnienia, płacze, ochy i achy, naznaczanie schadzek, tajne szepty i zwierzenia zakochanych, jak króliki, anonimowych adonisów. Biuro niniejsze oddające łaknącym miłości znakomite usługi i z powodzeniem konkurujące z kelnerami trzeciorzędnych hotelików, polecamy wicepr. Korytowskiemu do wysokiego opodatkowania, bo tego rodzaju instytucje winny opłacać wysoki podatek a „Słowo“ skromnie ukrywa to. rentowne biuro pod cichą firmą „drobnych ogłoszeń“.

Świątobliwy „Przedświt“, organ księży wyznaczył jako bezpłatną premję noworoczną dla swoich czytelników. „Wzorową Gospodynię“.

Niemiecki Polak. Dowiadujemy się, że na oficjalnym bankiecie pewnej tuł. instytucji żydowskiej przewodniczący (dr. C.) pod koniec bankietu odezwał się do zebranych w następujące słowa: „Ich ertheile das Wort dem Herrn T., der die Reihe der Toaste mit einem altpolnischen „kochajme sze“ schliessen wird“. *Tableau!*



Że „Słowo polskie“ notiera bakaryzm przez reklamowanie niemieckich firm, tego nie zaprzeczy nawet sam p. Wasilewski, skoro mu wyliczymy, że w Nr. 41. z dnia 25. stycznia br. znajdują się olbrzymie inseraty zachwalające niemieckie firmy: Messtorf, Behm & Comp. Hamburg, Verlags Magazin Leipzig Neumarktur 21; Fritz Schulz Junior Actiengesellschaft Eger und Leipzig; B. Karlsberg, Hamburg, Ferdinandstr. 15; fabryka dra Hoffmanna nast. w Meerane (Saksonia) i sto kilkadziesiąt firm wiedeńskich a to w myśl intencji streszczonej w olbrzymim napisie na stronie 10. tego pisma: „Popierajmy przemysł krajowy“ — ogłoszenia zbiorowe Słowa Polskiego.

Kwiatki stylistyczne, które kochane „Słowo polskie“ codziennie wysypuje ni to z rogu obfitości na krytyczne umysły swoich czytelników, zaczynają z wolna przechodzić w przysłowie. W Nr. 41. na str. 6. znajduje się taki kwiatusek: »W ul. Kotlarskiej l. 10. rozbili ubiegłej nocy rzezimieszki sklep Abrahama Fanda i poczęli w nim gospodarować, nadszedł jednak agent policyi Gross, więc złodzieje, ujrawszy go z daleka, pouciekali, nie zabrawszy niczego« ... Ojoj! A dalej sprawozdawca obchodu rocznicy styczniowego powstania pisze (na stronie 7) bez zająknięcia: „... Celebrował je (nabożeństwo) w asyście OO. Bernardynów katecheta zakładu ks. Gnatowski, który też następnie odśpiewał kondukt przed katefalkiem pięknie przybranym w k i r y i i n n e g o d ł a w a l k i n a r o d o w e j.“ Przedewszystkiem radziłyśmy wiedzieć, jak to się *spiewa* ... *kondukt*“, bo my dotąd nie słyszeliśmy o tak śmiałym zwrocie. A dalej dowiadujemy się po raz pierwszy, że ... *kir* to także *godło* walki narodowej. Na samym początku tego sprawozdania można zauważyć takie reportersko-żonglerskie *tour de passe passe*: „Po odśpiewaniu przez chór mieszany ... Galla „Kosiarze“ i Chopina „Marzenie“ ... itd. A więc tytuły utworów według gramatyki „Słowa“ nie odmieniają się, choćby aż ucho piszczało od takiej gadaniny. Wprawdzie znajdzie się gdzieś w gramatyce jakieś usprawiedliwienie takiego pisania, ale sam p. sprawozdawca tej rocznicy przyzna, że nie zbyt miłym byłoby dla ucha takie up. zdanie: Po przeczytaniu „Pan Tadeusz“, wykuciu „Gramatyka Małepkiego“ i wstąpieniu do „Słowa Polskie“ można jeszcze być bardzo mało, wrażliwym na piękno estetyczne stylu, *ut exemplum docet*.

Można być sędzią w zapasach atletycznych a mimo to nie być wolnym od stronniczości. Sportowy pod-sprawozdawca „Słowa polskiego“ (bożbył jeden nad-sprawozdawca) wychwa-

łał codziennie w kronice swego pisma zapasy atletyczne i wylewał krokodyły łzy wdzięczności dla dyr. Thorna za budzenie interesu u publiczności dla tak pięknego sportu. Ale tylko tak długo, jak długo piastował nadaną mu przez tzw. »teatrmajstra« godność sędziowską. Aliści raz pewnego strącono pana reportera z podziurawionego krzesła sędziowskiego i na-
zajutrz publiczność miała sposobność wyczytać w kronice »Słowa« najwstrętniejsze inwektywy pod adresem p. Thorna, jakoby wpływał na przebieg i wynik zapasów, opłacał atletów stawiając im za warunek, ażeby poddawali się Cyganiewiczowi i wreszcie, że zapasy w obecnym straciły znaczenie sportu..., skoro jego reporterska moc przestała już sądzić... Uwierzyliśmy! Drugiego dnia jest już sprostowanie i »wyjaśnienie«, które przetłumaczone na język codzienny tak mniej więcej opiewa: Był u nas dziś rano p. Cyganiewicz i pokazując pięść oświadczył, że wszystko, cośmy wczoraj o p. Thorne pisali, jest błagą. Zażądał, abyśmy natychmiast sprostowali. Prostujemy, prostujemy, prostujemy....

I tak ciągle zaciemnia się coś, ażeby potem było co »wyjaśniać«....

Niebywały program bo z dwudziestu kilku punktów złożony przynosi obecnie Colosseum pod dyрекcyą p. Ernesta Thorna. Najważniejszą jest trupa Leonidasa składająca się z kilkunastu bardzo zabawnych punktów. Niektóre produkeye nie powstydzilyby się figurować w programie curku B arnum & Baylay.



Chronique scandaleuse.

Od nowego roku po dziś dzień tj. przez cały miesiąc styczeń nie popełniono w Galicyi żadnej defraudacyi.

W ostatniej chwili otrzymujemy pismo, w którym niewyraźnie podpisani autorowie skarżą się na niebywały dotąd u nas skandal, że we Lwowie nie ma w obecnej chwili ani jednego tinglu. Słuszny ten skandal piętnujemy w odpowiedniej rubryce. I jak tu wyżyć!



Odpowiedzi wydawcy.

Jeszcze nie wydaliśmy żadnego numeru a już otrzymaliśmy kilka zapytań, rad i spostrzeżeń, które wywołało już samo pojawienie się afiszów zapowiadających nasze wydawnictwo. Na niektóre odpowiadamy.

Panu S. T. — i Zapytujesz nas szan. Pan o program a głównie Panu „chodzi o to, czy „Małpie Zwierciadło“ będzie konkurować z Monitorem i Reformatorem“. Otóż dowiedz się Pan, że my z nikim w ogóle konkurować nie chcemy a będziemy tylko biczować satyrą wszystko, co jest małpiem. Powstajemy na wzór wiedeńskiej „Fackel“, która zajmuje się dziennikami wiedeńskimi, a różnić się od niej będziemy wielostronnością. Bowiem nie tylko w naszych kochanych dziennikach zagnieździł się szlendryan, ale i w innych stosunkach polit. społ. i literackich i ten tępieć będziemy bezwzględnie. Postaraliśmy się oczywiście o najlepszych współpracowników, których nazwiska z łatwo zrozumiałych powodów muszą pozostać w tajemnicy. Otóż widzi Szan. Pan, że jesteśmy pismem zupełnie nowem, jekiego we Lwowie dotąd nie było, a skoro jesteśmy pierwszymi, to oczywiście mówić tu nie można, o jakiegokolwiek konkurencyi. Dla dokładności dodajemy jeszcze, że nie będziemy się zajmowali wywlekaniem prywatnych brudów, co sobie zresztą wyraźnie zastregli nasi wsrópracownicy.

Panu K. Czy będziesz Pan mógł nam co pisaćze sfer ak.. I owszem, ale drukować będziemy tylko to, co się dla nas będzie nadawało.

Iris Na uspokojenie Pani z góry przyrzekamy, że „z kobitami“ nie będziemy zaczepiali“ nigdy „tak jak to robił Humorysta i Bocian“.



Odpowiedzialny za Redakcyę: Emeryk Kiss. Z drukarni St Kossowskiego.

APTEKA

pod „złotym słoniem“

H. BLUMENFELDA.

Lwów, ul. Żółkiewska 1. 4.

poleca od 30 lat znane i przez znakomite powagi lekarskie zalecane wina i syropy lecznicze dla chorych i rekonwalescentów jako:

MALAGA z chiną i żelazem, Rebarbarum i t. d.

„**WINO** pepsynowe z deastazą“.

„**WINO** z Somałozą“ oraz Syrup wapniowo-żelazowy i wszelkie inne wyroby lecznicze.

Również poleca:

Pastyłki balsamiczno-ziółowe przeciw kaszłowi dalej, Tran rybi na jępszej jakości.

Wielki skład wszelkich specyfików krajowych i zagranicznych oraz środków toaletowych.

Zamówienia z prowincyi załatwia się odwrotną pocztą.

C. i k. nadw. fotograf

T. Bahryniewicz

we Lwowie.

ulica Jagiellońska liczbą 4

wykonuje zdjęcia w najnowszych formatach saccyjnych w cenie:

Séces. Makart. 6 sztuk 12 kor.

„ gabinet. „ „ 6 kor.

„ wizyt. „ „ 4 kor.

„ mignon „ „ 4 kor.

Zdjęcia wykonuje się bez względu na pogodę.

STANISŁAW GABRIEL

we Lwowie, ul. Karola-Ludwika 1. 1.

Skład przyborów do pisania
rysowania i malowania

Mydeł i Perfumeryi,

Przedmioty galanteryjne ze skóry
i terracoty.

*Wielki wybór obrazów i ram
do obrazów*

**Wypożyczalnia wzorów do
malowania**

Wielki wybór papierów
listowych i kart korespon-
dencyjnych ozdobnych.

Od 1. do 15.
lutego.

COLOSSEUM

pod dyr. ERNESTA THORNA

Od 1. do 15.
lutego.

Niebywały dotąd program.

LEONIDAS najznakomitsza tresu-
ra psów i kotów.

ROCCO świetny mandolista
włoski.

Miss Calabrine
śpiewaczka włoska.

Siostry Nerana z tlesowanymi
papugami.

Kwartet ateński.

Bracia Ados — akrobaci.

Les 6 Nereides śpiewaczki i tan-
cerki włoskie.

Trupa Marnitz Manello — ekwilibryści.

Balet damski
(zakończony żywym obrazem).

Bracia Fidardi komiczni
akrobaci.

Moccia — znakomity komik włoski.

Bioskop amerykański.

W niedzielę i święta DWA PRZEDSTAWIENIA.

W niedzielę i święta DWA PRZEDSTAWIENIA.

Co piątku
HIGH LIFE.

Codziennie o godz. 8 wieczorem
WSPANIAŁE PRZEDSTAWIENIE
W niedzielę i święta dwa przedstawie-
nia o godz. 4. po poł. po cenach zni-
żonych i o 8. po cenach zwykłych.

Bilety są wesośniejsze
do nabycia w biurze
dzienników Wgo Plo-
ma, ulica Karola Ja-
dwika 1. 3. a przed
przedstawieniem przy
kasie.